

JANET SKESLIEN CHARLES

**BIBLIOTEKARKA  
Z PARYŻA**

Przełożyła  
Ewa Ratajczyk

MANDO 

# I

## ODILE

Paryż, luty 1939

Liczby unosiły się w moich myślach niczym gwiazdy nad głową. Osiemset dwadzieścia trzy. Były kluczem do nowego życia. Osiemset dwadzieścia dwa. Gwiazdozbiorami nadziei. Osiemset czterdzieści jeden. Późnym wieczorem w sypialni, rano w drodze po croissanty, ciąg za ciągiem – osiemset dziesięć, osiemset czterdzieści, osiemset dziewięćdziesiąt – stawały mi przed oczami. Symbolizowały wolność, przyszłość. Tych liczb uczyłam się kiedyś wraz z historią bibliotek od szesnastego wieku. Podczas gdy w Anglii Henryk VIII zajmował się ścinaniem głów kolejnym żonom, nasz król Franciszek I unowocześniał swoją bibliotekę i otworzył ją dla uczonych. Jego królewska kolekcja była zaczątkiem francuskiej Biblioteki Narodowej. Teraz przy biurku w moim pokoju przygotowywałam się do rozmowy kwalifikacyjnej w Amerykańskiej Bibliotece (The American Library in Paris, ALP), po raz ostatni przeglądając notatki: założona w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku; jako pierwsza w Paryżu wpuściła czytelników pomiędzy półki; użytkownicy z ponad trzydziestu krajów, w jednej czwartej Francuzi. Mocno trzymałam się tych faktów i liczb w nadziei, że dzięki nim dyrektorka uzna mnie za osobę kompetentną.

Wymaszerowałam z rodzinnego mieszkania na zakopconą rue de Rome naprzeciwko dworca kolejowego Saint-Lazare, gdzie lokomotywy krztusiły się dymem. Wiatr mierzwił mi włosy, więc kosmyki

wsunęłam pod beret. W oddali widziałam hebanową kopułę kościoła Świętego Augustyna. Religia, dwieście. Stary Testament, dwieście dwadzieścia jeden. A Nowy? Czekałam, ale liczba nie przychodziła mi na myśl. Ze zdenerwowania zapomniałam proste fakty. Wyciągnęłam z torebki notes. A, tak, dwieście dwadzieścia pięć. Wiedziałam.

W szkole bibliotekarskiej najbardziej lubiłam klasyfikację dziesiętną Melvila Deweya. Stworzona przez amerykańskiego bibliotekarza w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym roku do organizacji bibliotecznych zbiorów na półkach obejmowała dziesięć tematycznych działów. Wszystko zawierało się w liczbie, która umożliwia czytelnikowi odnalezienie dowolnej książki w dowolnej bibliotece. Dla przykładu mama z dumą zajmowała się sześćset czterdzieści osiem (prowadzeniem domu). Papa nie przyznałby się, ale bardzo lubił siedemset osiemdziesiąt pięć (muzykę kameralną). Mój brat bliźniak gustował w sześćset trzydzieści sześć, kropka, osiem, a ja wołałam sześćset trzydzieści sześć, kropka, siedem (odpowiednio: koty i psy).

Dotarłam do *le grand boulevard*, gdzie na przestrzeni jednego kwartału miasto zrzucało robotniczą kapotę i przywdziewało futro z norek. Ordynarny zapach węgla znikł, a zastąpiła go miodowo-jaśminowa woń perfum Joy, którymi pachniały kobiety podziwiające sklepową wystawę z sukniami Niny Ricci i zielonymi skórzanymi rękawiczkami Kislava. Nieco dalej wyminęłam muzyków wychodzących ze sklepu sprzedającego lekko pogniecione nuty, przeszłam obok barokowego budynku z niebieskimi drzwiami i skręciłam w wąską boczną ulicę. Drogę znałam na pamięć.

Kochałam Paryż, miasto tajemnic. Każde paryskie drzwi – podobnie jak okładki książek, skórzane czy też płócienne – prowadziły do zaskakującego świata. Dziedziniec mógł skrywać kilka rowerów lub uzbrojonego w miotłę pulchnego dozorcę. Masywne drewniane drzwi Biblioteki wiodły do tajemniczego ogrodu. Biała kamienna

ścieżka, z petuniami z jednej strony i trawnikiem z drugiej, biegła do budowli z cegły i kamienia. Przekroczyłam próg pod łopoczącymi obok siebie flagami francuską i amerykańską i powiesiłam płaszcz na chybotliwym wieszaku. Wdychając najpiękniejszy aromat świata – mieszaninę leśnej woni zakurzonych książek i zapachu nowiutkich gazet – poczułam się jak w domu.

Do rozmowy miałam jeszcze kilka minut, więc okrążyłam ladę, przy której zawsze uprzejma bibliotekarka obsługiwała czytelników (– Gdzie w Paryżu można zjeść porządny stek? – spytał nowy gość w kowbojskich butach. – Dlaczego mam płacić karę, skoro nawet nie dokończyłam książki? – protestowała swarliwa madame Simon), i weszłam do cichej, przytulnej czytelnicy.

Przy stole pod francuskimi oknami profesor Cohen, z ekstrawaganckim pawim piórem zatkniętym w koku, czytała gazetę; pan Pryce-Jones oddawał się lekturze „Timesa”, popalając fajkę. Kiedy indziej zamieniłabym z nimi parę słów, ale przejęta perspektywą rozmowy ukryłam się w ulubionej części zbiorów. Uwielbiałam otoczenie opowieści, tych starych jak świat i tych opublikowanych zaledwie przed miesiącem.

Wpadłam na pomysł, żeby wypożyczyć powieść dla brata. Coraz częściej, budząc się w nocy o różnych porach, słyszałam, jak wystukuje na maszynie swoje elaboraty. Rémy, gdy nie pisał artykułów o tym, że Francja powinna pomagać uchodźcom zmuszonym do opuszczenia Hiszpanii z powodu wojny domowej, twierdził, że Hitler zajmie Europę, tak jak zrobił to ze sporą częścią Czechosłowacji. O swoich zmartwieniach – a raczej o zmartwieniach innych – zapominał jedynie przy dobrej lekturze.

Musnęłam palcami grzbiety. Wybrałam tom i otworzyłam na przypadkowym fragmencie. Nigdy nie oceniałam książki po początku. Przypominał mi pierwszą i ostatnią randkę, na jakiej w życiu byłam: oboje zbyt promiennie się uśmiechaliśmy. Nie, otworzyłam ją gdzieś pośrodku, gdzie autor nie próbował mi zaimponować.

„Jedne rzeczy mrokiem życie napełniają, a inne światłem. Pani jest światła pełna”<sup>\*</sup> – przeczytałam. *Oui. Merci*, panie Stoker.

To właśnie powiedziałabym Rémy’emu, gdybym mogła.

Teraz byłam spóźniona. Pognałam do lady, podpisałam kartę i wsunęłam *Drakulę* do torebki. Dyrektorka czekała. Kasztanowe włosy jak zawsze upięte miała w kok, a w dłoni trzymała srebrny długopis.

O panie Reeder słyszał każdy. Pisała artykuły do gazet i brylowała w radio, zapraszając wszystkich do Biblioteki – uczniów, nauczycieli, żołnierzy, cudzoziemców i Francuzów. Z przekonaniem twierdziła, że znajdzie się tu miejsce dla każdego.

– Jestem Odile Souchet. Przepraszam za spóźnienie. Przyszedłem przed czasem, otworzyłam książkę i...

– Czytanie jest niebezpieczne – skwitowała panna Reeder z porozumiewawczym uśmiechem. – Przejdźmy do mojego gabinetu.

Poszłam za nią przez czytelnię, gdzie mężczyźni w eleganckich garniturach lekko opuścili gazety, żeby lepiej widzieć słynną dyrektorkę, na górę po krętych schodach i przez korytarz świętego skrzydła „tylko dla pracowników” do jej gabinetu, w którym pachniało kawą.

Na ścianie wisiała wielka panorama miasta z lotu ptaka, kwartały niczym szachownica, układ zupełnie niepodobny do krętych ulic Paryża.

Widząc moje zaciekawienie, wyjaśniła:

– To Waszyngton. Pracowałam kiedyś w Bibliotece Kongresu. – Wskazała mi miejsce i sama usiadła za biurkiem, na którym piętrzyły się dokumenty, jedne usiłowały wyslizgnąć się z tacy, inne na miejscu przytrzymał dziurkacz. W rogu stał lśniący czarny telefon. Na krzesle obok panny Reeder leżała sterta książek. Wypatrzyłam powieści

---

<sup>\*</sup> Bram Stoker, *Drakula*, tłum. Marek Król, Kraków 2005, s. 278 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Isaka Dinesena i Edith Wharton. Z każdej wabiła zakładka – właściwie jaskrawa wstążka – zachęcając dyrektorkę, by wróciła do lektury.

Jaką czytelniczką była panna Reeder? W przeciwieństwie do mnie nie zostawiała otwartych książek z powodu braku zakładki. I zapewne nie trzymała stosu pod łóżkiem. Pewnie czytała cztery czy pięć książek naraz. Jedną nosiła w torebce na podróże autobusem przez miasto. Tę, o którą zapytała ją przyjaciółka. O innej nikt poza nią nie miał pojęcia – sekretna przyjemność na deszczowe niedzielne popołudnie...

– Kto jest pani ulubionym pisarzem? – spytała panna Reeder.

Kto jest pani ulubionym pisarzem? Nie sposób odpowiedzieć na takie pytanie. Jak można wybrać tylko jednego? Z cicią Caro stworzyłyśmy kategorie – pisarze nieżyjący, żyjący, zagraniczni, francuscy i tak dalej – żeby uniknąć konieczności takiego wyboru. Zastanowiłam się nad książkami z czytelni, których przed chwilą dotknęłam, książkami, które dotknęły mnie. Podobało mi się podejście Ralphi Waldo Emersona: „Nie jestem samotny, kiedy czytam i piszę, choć nie ma przy mnie nikogo”, i sposób myślenia Jane Austen. Tworzyła w dziewiętnastym wieku, ale dla wielu kobiet sytuacja nadal się nie zmieniała: o przyszłości decydowało to, kogo poślubi. Trzy miesiące temu, kiedy poinformowałam rodziców, że nie potrzebuję męża, papa prychnął i na każdy niedzielny obiad zaczął przyprowadzać kolejnych podwładnych. Jak indyka, którego mama wiązała i posypywała pietruszką, papa serwował każdego na tacy: „Marc nie opuścił w pracy ani jednego dnia, nawet kiedy miał grypę!”.

– Zapewne pani czyta?

Papa często narzekał, że mówię szybciej, niż myślę. Na pierwsze pytanie panny Reeder odpowiedziałam pod wpływem frustracji.

– Moim ulubionym nieżyjącym pisarzem jest Dostojewski, bo lubię jego bohatera Raskolnikowa. Nie tylko on ma ochotę wałnąć kogoś w głowę.

Cisza.

Dlaczego nie udzieliłam normalnej odpowiedzi – na przykład Zora Neale Hurston, moja ulubiona żyjąca pisarka?

– Jestem zaszczycona, że mogłam panią poznać. – Podeszłam do drzwi, wiedząc, że rozmowa dobiegła końca.

Gdy moje palce sięgały do porcelanowej klamki, usłyszałam głos panny Reeder:

– „Oddaj się życiu wprost, bez rezonerstwa; nie bój się, ono samo wyniesie cię na brzeg i postawi na nogi”<sup>\*</sup>.

Mój ulubiony cytat ze *Zbrodni i kary* – osiemset dziewięćdziesiąt jeden, kropka, siedemdziesiąt trzy. Odwróciłam się.

– Większość kandydatów mówi, że najbardziej lubi Szekspira – odezwała się.

– Jedyne pisarstwo ze swoim własnym działem sygnatur Deweya.

– Niektórzy wymieniają *Jane Eyre*.

To byłaby normalna odpowiedź. Dlaczego nie podałam Charlotte Brontë albo w ogóle którejś Brontë?

– Ja też uwielbiam Jane. Siostry Brontë mają wspólną sygnaturę – osiemset dwadzieścia trzy, kropka, osiem.

– Spodobała mi się twoja odpowiedź.

– Naprawdę?

– Powiedziałaś to, co czułaś, a nie to, co twoim zdaniem chciałam usłyszeć.

Rzeczywiście tak było.

– Nie bój się być inna. – Panna Reeder pochyliła się i spojrzała mi w oczy inteligentnym, spokojnym wzrokiem. – Dlaczego chcesz tu pracować?

Nie mogłam wyjawic prawdziwego powodu. Zabrziałby żałośnie.

---

<sup>\*</sup> Fiodor Dostojewski, *Zbrodnia i kara*, tłum. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Warszawa 1966, tom 2, s. 189.

– Umieję na pamięć dziesiętną klasyfikację Deweya i w szkole bibliotekarskiej miałam same piątki.

Zerknęła na moje podanie.

– Dyplom masz imponujący. Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– Należę do tej biblioteki. Kocham angielski...

– Widzę – odparła z nutą rozczarowania w głosie. – Dziękuję za poświęcony czas. Skontaktujemy się z tobą w ciągu paru tygodni niezależnie od rezultatu. Odprawdę cię.

Na dziedzińcu westchnęłam sfrustrowana. Może powinnam była się przyznać, dlaczego chcę tę posadę.

– Co się stało, Odile? – spytała profesor Cohen. Uwielbiałam jej wykłady z literatury angielskiej w Amerykańskiej Bibliotece, na których zawsze było tłoczno. W charakterystycznym fioletowym szalu sprawiała, że przytłaczające książki, jak *Beowulf*, stawały się przystępne, a jej ciekawe wykłady okraszone były szczyptą wyrafinowanego dowcipu. Snuły się za nią, niczym nuty bzu z jej perfum, obłoki skandalizującej przeszłości. *Madame le professeur* pochodziła podobno z Mediolanu. Będąc primabaleriną, porzuciła status gwiazdy (i nudnego męża) i pojechała za kochankiem do Brazzaville. Po powrocie do Paryża – samotnym – studiowała na Sorbonie, gdzie podobnie jak Simone de Beauvoir, zaliczyła *l'agrégation*, szalenie trudny państwowy egzamin, żeby móc wykładać na poziomie uniwersyteckim.

– Odile?

– Wygłupiłam się na rozmowie kwalifikacyjnej.

– Taka bystra młoda kobieta jak ty? A powiedziałaś pannie Reeder, że nie opuściłaś żadnego z moich wykładów? Szkoda, że moi studenci nie są tacy sumienni!

– Nie przyszło mi do głowy, żeby o tym wspomnieć.

– Wszystko, co chcesz jej powiedzieć, napisz w liście z podziękowaniem.



– Nie wybierze mnie.  
– Życie to bój. Musisz walczyć o to, czego pragniesz.  
– Nie jestem pewna...  
– A ja jestem – orzekła profesor Cohen. – Myślisz, że konserwatywni mężczyźni na Sorbonie zatrudnili mnie ot, tak? Harowałam, żeby ich przekonać, że kobieta może prowadzić wykłady na uniwersytecie.

Podniosłam wzrok. Wcześniej widziałam tylko fioletowy szal. Teraz zobaczyłam jej stalowe oczy.

– Być upartym to nic złego – ciągnęła. – Choć mój ojciec narzekał, że zawsze muszę mieć ostatnie słowo.

– Mój też. Nazywa mnie „nieugiętą”.

– Więc zrób użytek z tej cechy.

Miała rację. W moich ulubionych książkach bohaterki nigdy się nie poddawały.

Profesor Cohen słusznie poradziła, żebym myśli wyraziła w liście.

Pisanie było łatwiejsze niż rozmowa twarzą w twarz. Mogłam kreślić i zaczynać od nowa, setki razy, gdyby było trzeba.

– Ma pani rację... – odpowiedziałam.

– Oczywiście, że mam! Poinformuję dyrektorę, że na moich wykładach zawsze zadajesz najtrafniejsze pytania, a ty doprowadź sprawę do końca.

Zamaszyście owinęła się szalem i wkroczyła do Biblioteki.

Choćbym była nie wiem jak bardzo przygnębiona, ktoś z Biblioteki zawsze zdołał mnie podnieść na duchu. Biblioteka to coś więcej niż cegły i książki; jej sercem byli troskliwi ludzie. Bywałam też w innych bibliotekach, z twardymi drewnianymi krzesłami i grzecznym: *Bonjour, Mademoiselle. Au revoir, Mademoiselle*. Nie można im było niczego zarzucić, brakowało po prostu atmosfery prawdziwej społeczności. Za to w tej Bibliotece czułam się jak w domu.

– Odile! Zaczekaj! – To był pan Pryce-Jones, emerytowany angielski dyplomata z muszką w turecki wzór, za nim podążała starsza bibliotekarka, pani Turnbull, z nierówną niebieskosiwą grzywką. Widocznie profesor Cohen powiedziała im, że czuję się zniechęcona. – Jeszcze nic straconego. – Poklepał mnie niezdarnie po plecach. – Przekonasz do siebie dyrektorkę. Po prostu spisz listę argumentów, jak zrobiłby każdy dyplomata z prawdziwego zdarzenia.

– Proszę się nad nią nie roztkliwiać! – zganiła go pani Turnbull. I zwróciła się do mnie: – W moim rodzinnym Winnipeg jesteśmy przyzwyczajeni do przeciwności. One nas kształtują. Zimy z temperaturami do minus czterdziestu stopni, ale nie słyhać, żeby ktokolwiek narzekał, w odróżnieniu od Amerykanów... – Przypomniała sobie powód, dla którego wyszła na zewnątrz – okazję, żeby komuś rozkazywać – i wycelowała w moją twarz kościsty palec. – Weź się w garść i nie gódź się z odmową!

Z uśmiechem uświadomiłam sobie, że dom to miejsce, w którym nie ma tajemnic. Ale się uśmiechałam. A to było już coś.

Po powrocie do sypialni, bez zdenerwowania, napisałam:

Szanowna Panno Reeder,

Dziękuję za rozmowę kwalifikacyjną. Wzięłam w niej udział z wielką przyjemnością. Ta Biblioteka znaczy dla mnie więcej niż jakiekolwiek inne miejsce w Paryżu. Gdy byłam mała, moja ciotka Caroline przywodziła mnie tutaj na czytanie bajek. To dzięki niej zaczęłam uczyć się angielskiego i zakochałam się w Bibliotece. Choć ciotki już z nami nie ma, nadal szukam jej tutaj. Otwieram książki i sprawdzam kieszonki wewnątrz okładek w nadziei, że na karcie ujrzę jej nazwisko. Czytanie tych samych powieści, jakie czytała ona, sprawia, że czuję, że nadal jesteśmy blisko.

Biblioteka jest moją oazą. Zawsze udaje mi się znaleźć regał dla siebie i czytać, i marzyć. Chcę przyczynić się do tego, żeby każdy

miał taką możliwość, zwłaszcza ludzie z poczuciem odmienności, potrzebujący miejsca, które mogliby nazwać domem.

Podpisałam się, w ten sposób kończąc rozmowę.

## 2

### LILY

Froid, Montana 1983

Nazywała się Gustafson i mieszkała obok. Ludzie za plecami nazywali ją Wojenną Panną Młodą, ale według mnie na taką nie wyglądała. Przede wszystkim nigdy nie ubierała się na biało. I była stara. O wiele starsza od moich rodziców. Wiadomo, że panna młoda potrzebuje pana młodego, lecz jej mąż od dawna nie żył. Choć biegle władała dwoma językami, na ogół do nikogo się nie odzywała. Mieszkała tu od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, ale zawsze traktowano ją jako nietutejszą.

We Froid była jedyną wojenną panną młodą, podobnie jak doktor Stanchfield – jedynym lekarzem. Czasami zaglądałam do jej salonu, w którym nawet stoły i krzesła były zagraniczne – filigranowe jak z domku dla lalek, z rzeźbionymi nogami z orzecha. Poszperałam w jej skrzynce, w której listy aż z Chicago adresowane były do madame Odile Gustafson. W porównaniu do znanych mi imion, jak Tricia i Tiffany, Odile zdawało się egzotyczne. Podobno przyjechała z Francji. Chcąc się dowiedzieć o niej czegoś więcej, przestudiowałam hasła encyklopedii związane z Paryżem. Odkryłam szare gargulce Notre Dame i napoleoński Łuk Triumfalny. A jednak nic z tego, co czytałam, nie było w stanie wyjaśnić, dlaczego pani Gustafson jest taka inna?

Nie wyglądała jak inne kobiety z Froid. Były pulchne jak strzyżyki, nosiły grube swetry i nijakie buty w odcieniach ponurej szarości. Wszystkie kobiety do sklepu chodziły z włosami nawiniętymi na wálki,

a pani Gustafson stroiła się jak przy niedzieli – w plisowaną spódnicę i szpilki – tylko po to, żeby wynieść śmieci. Jej talię podkreślał czerwony pasek. Z czerwonej szminki nie rezygnowała, nawet idąc do kościoła. „Ta to z pewnością ma o sobie wysokie mniemanie”, mówiły pozostałe kobiety, kiedy energicznym krokiem szła do swojej ławki na przedzie, z oczami ukrytymi pod kapeluszem w stylu lat dwudziestych. Nikt inny nie nosił kapelusza. I większość parafian siadała z tyłu, nie chcąc ściągać na siebie uwagi Boga. Ani księdza.

Tego ranka wielbny Maloney poprosił nas o modlitwę za dwustu sześćdziesięciu dziewięciu pasażerów Boeinga 747 zestrzelonego przez sowieckie pociski K-8. W telewizji prezydent Reagan powiedział o ataku na samolot lecący z Anchorage do Seulu. Kiedy biły dzwony, mnie w uszach dzwoniły jego słowa: „rozpacz, szok, złość... Związek Radziecki pogwałcił prawa człowieka pod każdym względem... nie powinniśmy być zaskoczeni tak nieludzką brutalnością...”. Rosjanie są w stanie zamordować każdego, zdawał się mówić, także dzieci. Zimna wojna przyprawiała nas o dreszcze nawet w Montanie. Wujek Walt, który pracował w bazie sił powietrznych w Malmstrom, wyjawiał, że w naszych samolotach rozmieszczono, niczym ziemniaki na polu, tysiące pocisków minuteman. Głowice jądrowe w cementowych silosach cierpliwie czekały na swoją wielką chwilę. Wujek przechwalał się, że minutemany mają większą moc niż bomby, które zniszczyły Hiroszimę. Powiedział, że potrafią wyszukiwać pociski, więc broń sowiecka minie Waszyngton i skieruje się do nas. Na to my wystrzelimy nasze minutemany, a one dotrą do Moskwy w czasie krótszym, niż mnie zajmuje naszykowanie się do szkoły.

Po mszy parafianie przeszli do salki na drugą stronę ulicy – na kawę, pączki i plotki. Mama i ja stanęłyśmy w kolejce po ciastka; przy blacie z ekspresem tata i inni mężczyźni zgromadzili się wokół pana Iversa, prezesa banku. Tata pracował tam sześć dni w tygodniu w nadziei, że zostanie wiceprezesem.

- Sowieci nie pozwolą na poszukiwanie ciał. Bezbożne bydlaki.
- Kiedy prezydentem był Kennedy, na obronę szło siedemdziesiąt procent więcej niż obecnie.
- Jesteśmy łatwym celem.

Słuchałam mimowolnie; w sytuacji nieustannego napięcia z powodu zimnej wojny te ponure rozmowy stanowiły podkład muzyczny naszych niedziel. Zajęta piętreniem pączków z dziurką na talerzu, dopiero po chwili zorientowałam się, że mama rzezi. Zwykle gdy dostawała ataku, miała wyjaśnienie: „rolnicy mają żniwa i od pyłu w powietrzu odzywa się moja astma” czy „ojciec Maloney wymachuje tym kadzidłem, jakby usiłował przeprowadzić dezynsekcję”. Tym razem bez słowa chwyciła mnie za ramię. Zaprowadziła ją do najbliższego stolika, na miejsce obok pani Gustafson. Mama opadła na metalowe krzesło, pociągając mnie na sąsiednie.

Próbowałam przyciągnąć uwagę taty.

- Nic mi nie jest. Nie rób zamieszania – odezwała się mama tonem oznaczającym rozkaz.
- Tragedia, to co stało się z tymi ludźmi w samolocie – stwierdziła pani Ivers z drugiej strony stołu.
- Dlatego ja się nie ruszam z miejsca – wyjaśniła pani Murdoch. – Jak się człowiek włóczy, może napytać sobie biedy.
- Zginęło wielu niewinnych ludzi – wtrąciłam. – Prezydent Reagan powiedział, że był wśród nich kongresman.
- Jednego pasożyta mniej. – Pani Murdoch wsunęła ostatni kawałek pączka pomiędzy swoje brązowe zęby.
- Nieładnie tak mówić. Ludzie mają prawo lecieć samolotem i nie zostać zestrzelonymi – obruszyłam się.

Pani Gustafson spojrzała mi w oczy. Kiwnęła głową, jakby to, co powiedziałam, miało znaczenie. Choć ja z obserwowania jej zrobiłam sobie hobby, ona zauważyła mnie po raz pierwszy.

- To odważne, że wyraziłaś swoje zdanie – pochwaliła.

Wzruszyłam ramionami.

– Ludzie nie powinni być podli.

– W pełni się z tobą zgadzam – odpowiedziała.

– Zimna wojna ciągnie się od prawie czterdziestu lat – zagrzemiał pan Ivers, nim zdążyłam się odezwać. – Nigdy nie wygramy.

Kobiety pokiwały głowami.

– To bezwzględni zabójcy – ciągnął.

– Miał pan do czynienia z jakimś Rosjaninem? – spytała go pani Gustafson. – Pracował pan z jakimś? Bo ja tak, i mogę zapewnić, że niczym się nie różni od pana czy ode mnie.

W sali zapanowała cisza. Gdzie poznała wroga i jak z nim „pracowała”?

We Froid wiedzieliśmy wszystko o wszystkich. Wiedzieliśmy, kto za dużo pije i dlaczego, wiedzieliśmy, kto zaniża podatki i kto zdradza żonę, wiedzieliśmy, kto żyje w grzechu z mężczyzną z Minot. Nieodgadniona była jedynie pani Gustafson. Nikt nie wiedział, jak nazywali się jej rodzice ani kim z zawodu był jej ojciec. Nikt nie wiedział, jak w czasie wojny poznała Bucka Gustafsona ani jak przekonała go, żeby porzucił swoją licealną miłość i zamiast niej poślubił ją. Była obiektem niepotwierdzonych plotek. W oczach miała smutek – z powodu straty czy żalu? I jak to możliwe, że po życiu w Paryżu zadowolili się tym nudnym grajdołkiem na równinie?



Byłam uczennicą z pierwszej ławki, wrywającą się do odpowiedzi. Mary Louise siedziała za mną i bazgrała po blacie. Dziś, kiedy pani Hanson przy tablicy starała się, jak mogła, naszą siódmą klasę zainteresować *Ivanhoe*, Mary Louise wymruczała: „Ivan-no”.

Po drugiej stronie przejścia opalone palce Robby’ego zaciskały się wokół ołówka. Włosy – brązowe jak moje – miał wycieniowane.

Umiał już jeździć samochodem, bo musiał pomagać rodzicom zwozić zboże. Podniósł ołówek do ust, różową gumką muskał dolną wargę. W kącik jego warg mogłabym wpatrywać się w nieskończoność.

Francuski pocałunek. Francuski tost. Francuskie frytki. Wszystko, co dobre, było francuskie. Z tego, co wiedziałam, francuska fasola szparagowa smakowała lepiej niż amerykańska. Francuskie piosenki z pewnością były ładniejsze niż nasza muzyka country, puszczana przez jedyną rozgłośnię radiową w miasteczku. „Życie mi się zawaliło, kiedy ta młazująca krowa zostawiła mnie dla młodszego byka”. Francuzi z pewnością wiedzą też więcej na temat miłości.

Chciałam przemierzyć pas startowy na lotnisku, wybieg na pokazie mody. Chciałam występować na Broadwayu, zajrzeć za żelazną kurtynę. Chciałam wiedzieć, jak smakowałyby francuskie słowa w moich ustach. Znałam tylko jedną osobę, która doświadczyła świata spoza Froid – panią Gustafson.

Choć byliśmy sąsiadkami, czułam się tak, jakby ona żyła oddalona o lata świetlne ode mnie. W każdy Halloween mama ostrzegała:

– Światło na ganku u Wojennej Panny Młodej jest zgaszone. A to znaczy, że nie chce, żebyście się do niej dobijali.

Kiedy z Mary Louise sprzedawałam ciasteczka skautek, jej mama nas uprzedziła:

– To stare babsko nie ma pieniędzy, do niej nie idźcie.

Spotkanie z panią Gustafson dodało mi odwagi. Potrzebowałam tylko odpowiedniego zadania szkolnego i mogłabym przeprowadzić z nią rozmowę. Jak można się było spodziewać, pani H zadała wypracowanie na temat *Ivanhoe*. Po lekcji podeszłam do jej biurka i spytałam, czy zamiast tego mogłabym napisać o jakimś kraju.

– Tylko ten jeden raz – odparła. – Z przyjemnością przeczytam twoje wypracowanie o Francji.

Byłam tak pochłonięta moim planem, że kiedy weszłam do łazienki, zapomniałam zerknąć pod kabiny i zamknąć główne drzwi.



Jak było do przewidzenia, gdy skończyłam, Tiffany Ivers ze swoją bandą czaiła się przy umywalkach, kokietując przed lustrem swoimi pszenicznazłotymi włosami.

– Spluczka nie zadziałała – odezwała się. – Idzie gównu.

Mało wyszukane, ale gdy przyjrzałam się mojemu odbiciu, zobaczyłam jedynie brązowe jak gówno włosy. Zatrzymałam się przy kabinach, bo wiedziałam, że jeżeli umyję ręce, Tiffany wsadzi mi głowę pod kran i będę mokra. Jeżeli tego nie zrobię, rozgadają po całej szkole. Zrobiły to Maisie – przez miesiąc nikt nie usiadł obok „Obsikanych rąk”. Łazienkowy kwartet czekał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami.

Zawiasy w drzwiach zaskrzypiały i do środka zajrzała pani H.

– Znów tu jesteś, Tiffany? Najwyraźniej masz problem z pęcherzem.

Dziewczyny wyszły zamaszystym krokiem, obrzucając mnie spojrzeniem, jakby chciały powiedzieć „to jeszcze nie koniec”. Tego byłam pewna.

Mama, wieczna optymistka, kazałaby mi dostrzegać pozytyw. Szczęście, że stary Ivers miał tylko jednego potomka. I że był piątek. W piątki moi rodzice zwykle podejmowali gości na kolacji (mama smażyła żeberka, Kay przynosiła sałatkę, a Sue Bob piekła odwrócone ciasto ananasowe), więc wieczór spędzałam u Mary Louise. Jednak dziś zostałam w swoim pokoju i układałam pytania do pani Gustafson. Podczas kolacji w jadalni rozlegał się śmiech. Gdy zapadła cisza, wiedziałam, że – jak u angielskich lordów i dam – kobiety zajęły się swoimi sprawami, żeby mężczyźni mogli rozsiąść się wygodnie na krzesłach i rozmawiać na tematy, jakich nie podjęliby w obecności żon.

Kiedy kobiety zmywały naczynia, słyszałam inny ton głosu mamy, taki, jaki pojawiał się u niej, gdy była w gronie przyjaciółek. Przy nich wydawała się szczęśliwsza. Zabawne, że ta sama osoba może

zachowywać się różnie w różnym towarzystwie. Z tego powodu wy-  
dawało mi się, że pewnych rzeczy o mamie nie wiem, choć nie była  
tak tajemnicza jak pani Gustafson.

Przy biurku spisałam pytania, które przychodziły mi do głowy:  
Kiedy po raz ostatni ktoś stracił głowę na gilotynie? Czy we Fran-  
cji też są świadkowie Jehowy? Dlaczego ludzie mówią, że ukradła  
pani męża? A teraz, skoro nie żyje, dlaczego nadal pani tu miesz-  
ka? Skupiałam się tak bardzo, że się nie zorientowałam, iż stoi  
za mną mama, dopóki nie poczułam jej ciepłej dłoni na moim  
ramieniu.

– Nie chciałaś spędzić wieczoru u Mary Louise?

– Odrabiam lekcje.

– W piątek – zauważyła nieprzekonana. – Ciężki dzień w szkole?

Dni na ogół były ciężkie. Ale nie miałam ochoty rozmawiać o Tif-  
fany Ivers. Mama wyciągnęła zza pleców prezent wielkości pudełka  
po butach.

– Zrobiłam coś dla ciebie.

– Dzięki! – Rozdarłam papier i zobaczyłam wydzierganą na szydeł-  
ku kamizelkę. Założyłam ją na koszulkę, a mama pociągnęła w pasie,  
zadowolona, że trafiła z rozmiarem.

– Pięknie wyglądasz. Zieleń podkreśla cętki w twoich oczach.

Zerknięcie w lustro potwierdziło, że wyglądam jak idiotka. Gdy-  
bym włożyła tę kamizelkę do szkoły, Tiffany Ivers pożarłaby mnie  
żywcem.

– Jest... ładna – powiedziałam, za późno.

Uśmiechnęła się, żeby ukryć zawód.

– Więc nad czym pracujesz?

Wyjaśniłam, że mam napisać wypracowanie o Francji i że muszę  
przeprowadzić rozmowę z panią Gustafson.

– Och, skarbie, nie jestem przekonana, czy powinnyśmy ją  
niepokoić.

- Mam tylko kilka pytań. Możemy ją do nas zaprosić?
- Chyba tak. O co chcesz zapytać?

Wskazałam kartkę.

Mama, zerkając na listę, westchnęła głośno.

- No wiesz, możliwe, że miała powody, żeby nie wyjeżdżać.



W sobotnie popołudnie pośpiesznie przeszłam obok starego chevroleta pani Gustafson, po chwiejnych schodach ganku i zadzwoniłam. Dzyń-dzyń.

Żadnej reakcji. Jeszcze raz wcisnęłam dzwonek. Nikt się nie odezwał, więc sprawdziłam, czy drzwi są zamknięte. Otworzyły się ze skrzypnięciem.

- Halo? – odezwałam się, wchodząc. Cisza. – Jest tu kto?

Ściany pogrążonego w bezruchu pokoju wypełnione były książkami. Na kwietniku pod oknem panoramicznym stały w rzędzie paprocie. Sprzęt stereo wielkości głębokiej zamrażarki pomieściłby trupa. Przejrzałam kolekcję jej płyt: Czajkowski, Bach i jeszcze więcej Czajkowskiego.

Pani Gustafson przeczłapała przez korytarz, jakby obudziła się z drzemki. Nawet w domu nosiła sukienkę z czerwonym paskiem. Jej nogi odziane były w pończochy; wydawała się osobą zupełnie bezbronną. Uświadomiłam sobie, że nigdy nie widziałam pod jej domem samochodu przyjaciółki, nigdy nie słyszałam, żeby gościła rodzinę. Była uosobieniem samotności.

Przystanąła parę kroków ode mnie i spojrzała gniewnie, jakbym była złodziejka, która przyszła jej ukraść płytę z *Jeziorem łabędzim*.

- Czego chcesz?

*Pani coś wie i ja też chcę to wiedzieć.*

Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Słucham?
- Piszę na pani temat wypracowanie. To znaczy, na temat pani kraju. Może wpadłaby pani do nas, żebyśmy mogła z panią porozmawiać?
- Kąciki jej warg opuściły się. Nie odpowiedziała.
- Cisza wprawiła mnie w zdenerwowanie.
- Tu jest jak w bibliotece. – Wskazałam półki pełne nieznanymi mi nazwiskami: Madame de Staël, *Pani Bovary*, Simone de Beauvoir. Może to jednak był zły pomysł. Odwróciłam się do wyjścia.
- Kiedy? – spytała.
- Spojrzałam za siebie.
- Może być teraz?
- Akurat coś robiłam. – Wypowiedziała te słowa obcesowo, jakby była prezydentem i musiała wrócić do zarządzania terytorium swojej sypialni.
- Piszę wypracowanie – przypomniałam jej, ponieważ szkoła płaowała się tuż po Bogu, ojczyźnie i futbolu.
- Pani Gustafson wsunęła swoje szpilki i chwyciła klucze. Wysłałam za nią na ganek, a ona zamknęła drzwi na klucz. We Froid robiła to tylko ona.
- Zawsze wchodzisz nieproszona do cudzych domów? – spytała, kiedy szliśmy przez trawnik.
- Wzruszyłam ramionami.
- Inni na ogół otwierają drzwi.
- W naszej jadalni ścisnęła dłonie, a później opuściła je wzdłuż tułowia. Jej wzrok powędrował po dywanie do siedziska pod oknem i rodzinnych zdjęć na ścianie. Wargi poruszyły się, żeby coś powiedzieć, być może „ależ tu ładnie!”, jak zrobiłaby każda inna starsza kobieta, ale gwałtownie zacisnęła szczękę.
- Zapraszamy – powiedziała mama, stawiając na stole talerz ciastek z płatkami czekolady.

Gestem zaprosiłam naszą sąsiadkę, żeby usiadła. Mama przed swoim i moim talerzykiem postawiła kubki, a przed panią Gustafson – filiżankę. Historię tego przedmiotu znałam na pamięć. Wiele lat temu, kiedy pani Ivers pojechała na wycieczkę szlakiem angielskich zamków, tata dał jej pieniądze, żeby przywiozła mamie elegancki zestaw do herbaty. Ale że porcelana jest droga, pani Ivers wróciła tylko z jedną filiżanką ze spodkiem. Przerazona, że porcelana się rozbije, przez cały transatlantycki lot trzymała ją na kolanach. W moim odczuciu cienka filiżanka ozdobiona delikatnymi niebieskimi kwiatami miała jakieś lepsze pochodzenie. Szlachetniejsze. Jak pani Gustafson.

Mama nalała herbatę; ja przełamalam ciszę.

– Co Paryż ma najlepszego? Czy naprawdę jest najpiękniejszym miastem na świecie? Jak się w nim dorastało?

Pani Gustafson nie odpowiedziała od razu.

– Mam nadzieję, że pani nie kłopotujemy – wtrąciła mama.

– Ostatni raz taką rozmowę odbywałam, kiedy starałam się o pracę we Francji.

– Denerwowała się pani? – spytałam.

– Tak, ale uczyłam się na pamięć całych książek, żeby się przygotować.

– Pomogło?

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Do odpowiedzi na niektóre pytania człowiek nigdy nie jest przygotowany.

– Lily nie będzie zadawać takich pytań. – Mama zwróciła się do pani Gustafson, ale jej ostrzeżenie skierowane było do mnie.

– Najlepsza rzecz w Paryżu? To miasto czytelników – powiedziała sąsiadka. Opowiedziała, że w domach jej przyjaciół książki były równie ważne jak meble. Latem czytała w bujnych parkach miasta, a zimy – niczym doniczkowa palma sabałowa w Tuileries przenoszona

do szklarni przy pierwszych oznakach mrozu – spędzała w bibliotece, skulona przy oknie z książką na kolanach.

– Lubi pani czytać? – Dla mnie lista szkolnych lektur była katogą.

– Czytanie to moje życie – odparła. – Czytam głównie książki historyczne i na temat bieżących wydarzeń.

To było niemal równie zabawne jak obserwowanie topniejącego śniegu.

– A kiedy była pani w moim wieku?

– Uwielbiałam powieści, na przykład *Tajemniczy ogród*. Mój brat bliźniak interesował się wiadomościami.

Bliźniak. Chciałam zapytać, jak miał na imię, ale ona mówiła dalej. Paryżanie niemal taką samą wagę jak do literatury przywiązywali do jedzenia, powiedziała. Minęło ponad czterdzieści lat, lecz nadal pamiętała ciastko, które ojciec przyniósł jej po jej pierwszym dniu w pracy, nazywało się *financier*. Zamykając oczy, powiedziała, że maślany migdałowy proszek smakował niczym ambrozja. Jej matka uwielbiała *opéras*, płatki ciemnej czekolady o intensywnym smaku owinięte w warstwy ciasta moczonego w kawie... Fii-nan-sje. O-pe-ra. Upajałam się tymi słowami i byłam zachwycona tym, jak układały się na języku.

– Paryż jest miejscem, które do człowieka przemawia – ciągnęła. – Miastem, które nuci własną melodię. Paryżanie mają w lecie otwarte okna, więc słyhać plumkanie pianina u sąsiada, łoskot tasowanych kart, szum, gdy ktoś kręci radiową gałką. Zawsze śmieje się jakieś dziecko, ktoś się kłóci, na placu gra klarncista.

– Brzmi cudownie – powiedziała z rozmarzeniem mama.

Zwykle w niedzielę po nabożeństwie ramiona pani Gustafson opadały, a jej oczy wyglądały jak neonowy szyld baru Oasis w poniedziałek – na wyłączone. Ale teraz promieniały. Kiedy opowiadała o Paryżu, ostre rysy jej twarzy złagodniały, podobnie jak głos. Zastanawiałam się, dlaczego w ogóle stamtąd wyjechała.

Mama zaskoczyła mnie, zadając pytanie.

– Jak wyglądało życie w czasie wojny?

– Było ciężko. – Palce pani Gustafson zacisnęły się wokół filiżanki. Kiedy rozległy się syreny alarmowe, jej rodzina chowała się w piwnicy. Żywność była racjonowana i każdy dostawał jedno jajko na miesiąc. Wszyscy coraz bardziej chudli, aż zdawało się, że po prostu znikną. Naziści przeprowadzali wśród paryżan wrywkowe kontrole na ulicach. Mieszkańcy trzymali się razem, jak wilki w stadach. Ludzi aresztowano bez powodu. Albo z błahych powodów, na przykład za przebywanie na zewnątrz po godzinie policyjnej.

Takie zakazy wydaje się chyba nastolatkom? Angel, siostra Mary Louise, taki miała.

– Za czym w Paryżu najbardziej pani tęskni? – spytałam.

– Za rodziną i przyjaciółmi. – W brązowych oczach pani Gustafson zagościła melancholia. – Za ludźmi, którzy mnie rozumieją. Tęsknię za mówieniem po francusku. Za poczuciem, że jestem w domu.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Zalewała nas cisza. Mnie i mamę wprawiła ona w lekki niepokój, ale nie przeszkadzała chyba naszej sąsiadce, która dopijała resztkę herbaty.

Mama zauważyła pustą filiżankę pani Gustafson i poderwała się.

– Pójdę nastawić czajnik.

W połowie drogi do kuchni mama nagle przystanąła. Zachwiała się, wyciągnęła jedną rękę i chwyciła się szafki. Zanim przyszło mi do głowy, żeby się ruszyć, pani Gustafson zerwała się, chwyciła ją w pasie i zaprowadziła z powrotem na krzesło. Ukucnęła przy niej. Mama miała zarumienione policzki i oddychała powoli i płytko, jakby powietrze nie chciało dotrzeć do jej płuc.

– Nic mi nie jest – zapewniła. – Za szybko wstałam. Już ja wiem.

– Przytrafiło się to pani wcześniej? – spytała pani Gustafson.

Mama spojrzała na mnie, więc wróciłam na krzesło i udawałam, że zgarniam okruszki.

– Kilka razy – przyznała.

Pani Gustafson zadzwoniła do doktora Stanchfielda. We Froid wszyscy dorośli powtarzali to samo: „W dużym mieście dzwoni się do lekarza, a on nie przychodzi, choćby się było nie wiadomo jak chorym. Tutaj sekretarka odbiera po pierwszym sygnale, a Stanch zjawia się po dziesięciu minutach”.

Odbierał porody w trzech hrabstwach – jako pierwszy trzymał wielu z nas na swoich ciepłych, piegowatych dłoniach.

Zapukał do drzwi i wszedł z czarną skórzaną torbą.

– Niepotrzebnie pan przyjeżdżał – powiedziała zdenerwowana mama. Mnie prowadziła do Stancha z powodu byle kichnięcia, ale sama nigdy nie umówiła się na wizytę ze swoją astmą.

– Pozwoli pani, że ja to ocenię. – Delikatnie odgarnął na bok jej włosy i przytrzymał stetoskop przy plecach. – Proszę wziąć głęboki oddech.

Nabrała powietrza.

– Jeśli to jest głęboki oddech... – Stanch, marszcząc czoło, zmierzył jej ciśnienie. Powiedział, że jest wysokie, i przepisał jakieś tabletki. Może mama myliła się, twierdząc, że ma astmę.



Po kolacji Mary Louise i ja leżałyśmy u mnie na dywanie i pisałyśmy wypracowania.

– Co powiedziała pani Gustafson? – spytała.

– Że wojna była niebezpieczna.

– Niebezpieczna? Jak?

– Wróg był wszędzie. – Wyobraziłam sobie panią Gustafson w drodze do pracy na ulicach pełnych wyliniałych wilków. Niektóre wyleły, inne podgryzały jej pięty. A ona szła dalej. Może nigdy nie pokonywała tej samej trasy dwa razy.



– Więc musiała się skradać?  
– Chyba tak.  
– Nie byłoby fajnie, gdyby działała w konspiracji?  
– Pewnie. – Wyobraziłam sobie, jak w zbutwiałych książkach przynosi wiadomości.

– *À propos* tajemnic. – Odłożyła ołówek. – Wypaliłam papierosa Angel.

– Sama? Nie zrobiłaś tego.

Nie odezwała się.

– Nie zrobiłaś tego – powtórzyłam.

– Z Tiffany.

Jej słowa mocno mnie zaboląły.

– Jeżeli palisz, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę – oznajmiłam.

I wstrzymałam oddech.

Obie miałyśmy po dwanaście lat, ale Mary Louise we wszystkim była pierwsza. Dzięki swojej siostrze Angel słyszała o gumkach i alkoholowych imprezach. Moi rodzice nie pozwalali mi się malować, więc Mary Louise pożyczała mi swoje kosmetyki. Była silniejsza i szybsza ode mnie i czułam, że zostaję w tyle.

– A tak w ogóle to zbyt mi nie smakował – powiedziała.



W następnych tygodniach mama straciła apetyt, ubrania na niej wisiąły. Leki nie działały. Tata zabrał ją do specjalisty, który orzekł, że to po prostu stres. Była zbyt zmęczona, żeby gotować, więc tata robił kanapki. W Święto Dziękczynienia jadłam z nim przy kuchennym blacie grillowany ser. Zerkaliśmy w stronę drzwi w nadziei, że mama poczuje się na tyle dobrze, żeby do nas dołączyć.

Tata odkasznął.

– Jak w szkole?

Miałam same piątki, nie miałam chłopaka, a Tiffany Ivers usiłowała wykraść mi Mary Louise.

– Dobrze. Wszystkie inne dziewczyny się malują. Dlaczego ja nie mogę?

– Taka ładna dziewczyna jak ty nie potrzebuje tych wszystkich mazideł na twarzy.

Większość tego, co powiedział tata, do mnie nie dotarła. Nie usłyszałam jego troski, nie usłyszałam, jak mówi, że jestem ładna. Usłyszałam tylko kategoryczne: nie.

– Ale tato...

– Mam nadzieję, że nie zadręczasz tym matki.

Po raz tysięczny oboje spojrzeliśmy na drzwi sypialni.



Z plecakami przewieszonymi na ramieniu człapałyśmy z Mary Louise ze szkoły do domu. Zatrzymałyśmy się przy Pierwszej Ulicy, żeby pogłaskać Smokeya, owczarka niemieckiego, i szłyśmy dalej, mijając Fleschów, których ogródek zdobiło czterdzieści siedem ceramicznych gnomów, po jednym na każdy rok małżeństwa. W narożnej posesji stara pani Murdoch rozsunęła koronkowe firanki. Jeżeli przechodziłyśmy na skróty przez jej trawnik zamiast po chodniku, dzwoniła do naszych rodziców.

We Froid wszyscy robiliśmy zakupy w tym samym sklepie spożywczym, piliśmy z tej samej studni. Łączyła nas ta sama przeszłość, powtarzaliśmy te same opowieści. Pani Murdoch nie była tak złośliwa, dopóki jej mąż nie przewrócił się przy odgarnianiu śniegu. Buck Gustafson po wojnie już nigdy nie był taki jak dawniej. Czytaliśmy tę samą gazetę, jeździliśmy gruntowymi drogami, przyglądaliśmy się krążącym po polach kombajnom, z nagarniaczami chwytającymi pszenicę. Powietrze pachniało czystością. Czymś prawdziwym. Nasze

usta i nozdrza wypełniał delikatny zapach siana, a żniwny pył płynął w naszej krwi.

– Przeprowadźmy się do dużego miasta. – Mary Louise spojrzała gniewnie na panią Murdoch. – Gdzie nikt niczego o nas nie wie.

– Gdzie możemy robić wszystko – dodałam. – Na przykład krzyżować w kościele.

– Albo nawet nie chodzić do kościoła.

Na tym poprzestałyśmy, bo ta myśl była tak niesamowita, że potrzebowałyśmy czasu, żeby do nas dotarła, i w milczeniu pokonałyśmy ostatnią przecnicę. Z ulicy widziałam w oknie mamę. Odbicie w szybie sprawiało, że wydawała się błąda jak duch.

Mary Louise poszła dalej do swojego domu; ja podeszłam do skrzynki na listy i chwyciłam się wyblakłego słupka, niegotowa, by wejść do środka. Dawniej mama piekła ciastka i rozmawiała z przyjaciółkami przy kuchennym blacie. Czasami przyjeżdżała po mnie do szkoły i jechałyśmy do Medicine Lake Refuge, jej ulubionego miejsca obserwacji ptaków. W samochodzie kombi patrzyłyśmy w tym samym kierunku na rozpościerającą się przed nami drogę, pełną możliwości. Wtedy łatwo było jej się zwierzyć ze starcia z Tiffany Ivers czy złej oceny ze sprawdzianu. Mogłam też powiedzieć o dobrych rzeczach, na przykład o lekcji wuefu, na której Robby był kapitanem drużyny i wybrał mnie pierwszą, jeszcze zanim zaczął wybierać chłopaków. Za każdym razem, kiedy chybiałam, oni na mnie napadali, a on mnie wspierał i mówił: „Następnym razem im pokażesz”.

Mama wiedziała o mnie wszystko.

Medicine Lake zamieszkiwało dwieście siedemdziesiąt gatunków ptaków. Poruszałyśmy się w wysokich do kolan ostnicach. Na szyi mamy na pasku wisiała lornetka. „Może jastrzębie są bardziej dostojne – powiedziała wtedy – a sieweczki blade mają najładniejszą nazwę. Ale ja najbardziej lubię drozdy wędrowne”.

Droczyłam się z nią, że jedziemy taki kawał, żeby obserwować ptaki, które można znaleźć na naszym własnym trawniku. Ona na to: „Drozdzy są eleganckie. To dobry znak, przypomnienie o wyjątkowych rzeczach, które mamy na wyciągnięcie ręki”. Mocno mnie przytuliła.

A teraz siedziała w domu sama i rzadko miała siłę na rozmowę, nawet ze mną. Akurat w tej chwili do swojej skrzynki podeszła pani Gustafson, a ja pokonałam pas dzielącej nas spalonej trawy. Do piersi przyciskała list.

– Od kogo?

– Od mojej przyjaciółki Lucienne z Chicago. Piszemy do siebie od dekad. Płynęliśmy tym samym statkiem, trzy niezapomniane tygodnie z Normandii do Nowego Jorku. – Przyjrzała mi się. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Tutaj każdy znał zasady. Nie zwracaj na siebie uwagi, nikt nie lubi popisywania. Nie odwracaj się w kościele, nawet gdyby za tobą wybuchła bomba. Gdy ktoś pyta, jak się miewasz, odpowiadaj „dobrze”, nawet jeżeli jesteś smutny i przestraszony.

– Masz ochotę do mnie zajrzeć? – zaproponowała.

Rzuciłam plecak przed jej półkami. Od góry do dołu wypełnione były książkami i stały na nich tylko trzy zdjęcia, małe jak z polaroidu. W moim domu mieliśmy więcej zdjęć niż książek (Biblię, atlasy ptaków mamy i komplet tomów encyklopedii znalezionej na garażowej wyprzedazy).

Pierwsze zdjęcie przedstawiało młodego żołnierza marines. Miał oczy pani Gustafson. Przyniosła się do mnie.

– Mój syn, Marc. Zginął w Wietnamie.

Kiedyś, kiedy rozdawałam ulotki w kościele, grupa kobiet stanęła przy kropielnicy ze święconą wodą. W chwili gdy weszła pani Gustafson, pani Ivers wyszeptała:

– Jutro rocznica śmierci Marca.

– Strata dziecka, nie ma nic gorszego – odparła stara pani Murdoch, kręcąc głową. – Powinnyśmy przesać kwiaty albo...

– Powinnyście przestać plotkować – warknęła pani Gustafson. – Przynajmniej podczas mszy.

Kobiety zanurzyły drżące palce w święconej wodzie, szybko się przeżegnały i przemknęły do swoich ławek.

– Przykro mi – powiedziałam, muskając dłonią górną krawędź ramki.

– Mnie też.

Poczułam się niezręcznie, słysząc smutek w jej głosie. Nikt jej nigdy nie odwiedzał. Ani teściowie, ani rodzina z Francji. A jeżeli wszyscy, których kochała, nie żyją? Pewnie nie chciała mnie tutaj, rozdrapującej jej dawne rany. Podeszłam, żeby podnieść plecak.

– Masz ochotę na ciastko? – spytała.

W kuchni wzięłam z talerza dwa największe ciastka i pochłonęłam je, zanim ona zdążyła wziąć swoje. Cienkie i kruche herbatniki z cukrem uformowane były na kształt małej lornetki. Właśnie upiekła pierwszą partię, a ja przez następną godzinę pomagałam jej wałkować resztę. Cieszyłam się, że nie powiedziała nic o mamie. Ani „brakuje nam jej w radzie rodziców, przekaż, że każdy ma coś do zrobienia”. Ani „cokolwiek jej dolega, pieczeń wieprzowa wszystko naprawi”. Cisza nigdy nie wydawała się tak przyjemna.

– Jak się nazywają te ciastka? – spytałam, biorąc kolejne.

– *Cigarettes russes*. Rosyjskie papierosy.

Komunistyczne ciastka? Odłożyłam je z powrotem na talerz.

– Kto panią nauczył je piec?

– Przepis dostałam od koleżanki, która częstowała nimi, gdy doręczałam książki.

– Dlaczego nie mogła przynieść sobie książek sama?

– Nie miała wstępu do bibliotek w czasie wojny.

Zanim zdążyłam zapytać dlaczego, rozległo się walenie do drzwi.

– Pani Gustafson?

To był tata, co znaczyło, że zrobiła się szósta – pora kolacji, i że mam kłopoty. Ocierając okruszki z twarzy, przygotowywałam wytłumaczenie. Czas zleciał, musiałam zostać, by pomóc dokończyć...

Pani Gustafson otworzyła drzwi, a ja wyczekiwałam awantury od taty.

Oczy miał szeroko otwarte, krawat przekrzywiony.

– Jadę z Brendą do szpitala – powiedział do pani Gustafson. – Mogłaby pani zaopiekować się Lily?

Chciałam przeprosić, ale wybiegł, nie czekając na odpowiedź.